

Tłumacz wytrawny - Karl Dedecius

Florian Śmieja



*Dla Pana Śmieji
Karl Dedecius*

Karl Dedecius, fotografia z dedykacją dla Floriana Śmieji, arch. FŚ.

Nazwisko pochodzącego z Łodzi Karla Dedeciusa, wybitnego niemieckiego tłumacza literatury polskiej, wymienia się dziś w Polsce w gronie największych naszych przyjaciół i ambasadorów na Zachodzie. Nic więc dziwnego, że posypały się na niego nagrody, wysokie odznaczenia i honory. W czerwcu 2002 roku odebrał kolejny doktorat honoris causa w Polsce, tym razem we Wrocławiu.

Ale początki jego chwalebnej drogi nie były ani proste, ani łatwe.

Było to w marcu 1958 roku, kiedy wśród listów do redagowanego wówczas przeze mnie *Merkuriuma Polskiego* znalazło się pismo z Niemieckiej Republiki Federalnej, w którym nie znany mi korespondent donosił o planowanej przez siebie antologii współczesnej poezji polskiej. Prosił o udostępnienie mu tekstów i danych biograficznych młodych polskich poetów mieszkających na Zachodzie. Pukał do różnych drzwi, ale trudno mu było zdobyć potrzebne materiały. Informował równocześnie o pośpiechu, gdyż miał napięty harmonogram wydania.

Postanowiłem na apel odpowiedzieć i bezzwłocznie wziąć się do rzeczy.

Nie zdołałem nakłonić do współpracy z niemieckim entuzjastą mieszkającego wówczas w Londynie miłośnika poezji, Józefa Jaksinskiego. Miał on pokaźną bibliotekę nowości poetyckich. Choć go nie przekonałem, postawił do mojej dyspozycji swoje zbiory, a ja skwapliwie z nich skorzystałem. Wybrałem stos tomów, bodaj 29 i wysłałem trzy paczki do Niemiec. Jaksinśki miał zastrzeżenia m.in. do pośpiechu całego przedsięwzięcia obawiając się, że owoc nie będzie najlepszy. Do wybranych tomów dodałem listę autorów z danymi bio-bibliograficznymi i wysłałem do Heilbronn Karlowi Dedeciusowi, bo tak się nazywał autor listu. Wymieniliśmy szereg listów i pocztówek dla uściślenia niektórych danych biograficznych. Nie upłynął rok, kiedy wyszła antologia *Lektion der Stille*. Była to pierwsza jaskółka, ale jak się miało wnet okazać, stanowiła ona nie tylko o wiosnie, ale o bogatym lecie nad spodziewanie urodzajnym w piękne przekłady i liczne edycje.

Te wiersze 36 poetów z Polski i z emigracji ukazały się w prestiżowym wydawnictwie Carl Hanser Verlag w Monachium przy hucznym aplauzie krytyków niemieckich. Tłumacz przysłał mi plik kilkudziesięciu (z czasem było ich dwieście) recenzji pisanych przez wybitnych pisarzy i krytyków wśród których znaleźli się Heinz Piontek, Marcel Reich-Ranicki i Karl Krolow. Podkreślali oni niezwykłość publikacji, talent tłumacza, biegłą orientację w przedmiocie, różnorodność i dobrą klasę polskich autorów. Tak zaczęła się niezwykła kariera człowieka, tytana pracy i miłośnika poezji, prelegenta i twórcy, a potem wieloletniego dyrektora Deutsches Polen Institut w Darmstadt, laureata wielu nagród, doktora honoris causa szeregu uniwersytetów, wielkiego ambasadora polskiej literatury w Niemczech.

Od samego początku kariery tłumacza, toczącej się przez wiele lat na marginesie

pracy zarobkowej, Dedecius wierzył w szanse poezji polskiej na rynku niemieckim.

Pisemne krytyki pokazują - pisał - że na ogół technika i jakość poezji polskiej zaskoczyły wszystkich. Podkreśla się niezłomną wolę twórczą, nowoczesność sformułowań, głębię wstrząsających przeżyć. Nie brakuje głosów, które tę nową lirykę polską przyrównują do najlepszej młodej liryki niemieckiej, a niektórzy twierdzą, że jest od niej lepsza...

Niemniej urodziny tej antologii były zgoła dramatyczne. Kompilowanie tekstów wierszy i zdobywanie wiadomości biograficznych w latach pięćdziesiątych nastroczało wiele trudności, dziś zupełnie niezrozumiałych i absurdalnych. Adresaci próśb często nie odpowiadali na nie, źródła były mało dostępne, więc w efekcie przypadkowe. I tak w pewnym momencie, kiedy Dedecius chciał drukować w jakimś niemieckim czasopiśmie wybór młodych polskich poetów emigracyjnych, miał do dyspozycji jedynie kilka numerów krakowskiego czasopisma *Zebra* i teksty wierszy w tych numerach pomieszczone (m.in. Zygmunta Ławrynowicza). Posiadając tylko bardzo skromną biblioteczkę polskich poetów, musiał prosić o przepisywanie mu na maszynie dostępnych innym tekstów (były to czasy przed kserograficzne).

Otrzymałszy moje trzy paczki z Londynu, Dedecius pokwitował ich odbiór z entuzjazmem mówiąc m.in.

...Gdyby Pan nie był mi przysłał książek tak szybko, wówczas nie dotrzymałbym terminu majowego a wtedy antologia nie ukazała by się na jesieni, ale dopiero na wiosnę.

Zawiadamał przy tym, że mimo tak krótkiego terminu, pracował nad przekładami starannie i dokładnie zapewniając, że żadnego autora nie skrzywdził.

Potem jednak, nie mogąc doczekać się z Polski obiecywanych danych biograficznych, chciał sam pojechać do Warszawy, miał nawet jakieś zaproszenie, więc zaczął ubiegać się o wizę. Nawiązał kontakt z attaché kulturalnym Raczkowskim, ale mimo nieustanych zapewnień, wizy nie otrzymał, zwodzony do końca.

W liście z 2.7.1958 roku skarżył się zde gustowany:

Na księżyc łatwiej pojechać, niż do tej smutnej Warszawy. Ponieważ troszkę honoru też posiadam, powiedziałem... dość tego, rezygnuję... Czasem aż mi przykro i żal, że wziąłem na siebie tę syzyfową pracę, która mi cały swobodny czas zabiera, dużo zdrowia i pieniędzy kosztuje...

Parę miesięcy później donosił, że

Antologia długo już gotowa. Pedantyczne wydawnictwo czeka tylko jeszcze na te brakujące noty biograficzne z kraju.



Karl Dedecius, fot. culture.pl

Pisząc na lewo i prawo Dedecius uparcie bojował o swoją antologię. W drukarni nikt nie znał języka polskiego, rękopis wędrował tuzin razy między Monachium a Heilbronn, gdzie mieszkał, niemniej kilka błędów literowych zostało, ku zgryzocie dokładnego tłumacza. Prowadziłem z nim dialog w sprawie niektórych jego wersji niemieckich. Wyjaśniał mi swoją postawę, obiecał wyłuszczyć ją szczegółowiej w

wywiadzie dla naszego pisma pod warunkiem, że przyślę serię pytań, na które obiecał odpowiedzieć. Tymczasem dzielił się swoimi obserwacjami:

Kiedy ukazała się moja „Lektion der Stille”, pierwsza niemiecka antologia najmłodszej polskiej liryki (także pierwsza w obcym języku w ogóle), która kosztowała mnie wiele czasu i trudu i troski, gdyż trzeba było karczować puszcze, a niełatwo było dostać, przeglądać i rozszyfrować ogromu polskich wydawnictw, napisał pewien krytyk, że wybór jest „skromny w porównaniu z obfitością wydanych w Polsce nowości”. Jaki mędrzec! Odkąd to mierzy się lirykę na metry, odkąd waży się wiersze jak kartofle na worki? Myślałem, że poezja to dalekoidące zagęszczenie, koncentracja, wybór...

A przecież jedną z oczywistych przeszkód w wydaniu książki były ograniczenia nakładane przez wydawcę mało pokupnych, ryzykownych tekstów. Tłumacz w liście skarżył się na stojącego do jego dyspozycji skąpość miejsca, że miał gotowe przekłady, które do antologii nie weszły. Pomiędzy poeci też się upominali. Ktoś napisał mu złośliwy list.

Nie chce nigdy więcej „niczego” ode mnie słyszeć. Ponieważ nie wkluczyłem jego wierszy. Co za zarozumiałość! Takie są smutne radości sumiennego antologa,

komentował Dedecius.

Lecz docierały również pierwsze dobre echa z Polski. W liście z radością zacytował mi wypowiedź prof. Kazimierza Wyki:

Muszę powiedzieć, bez próżnych komplementów, że trudności, jakie Pan odczuwa i o jakich rozwiązanie prosi, dowodzą znakomitego zrozumienia poezji i ponadto trudności i wieloznaczności języka polskiego, wieloznaczności zarówno semantycznych jak obrazowych... Przekłady, o ile mogą polegać na swojej znajomości języka niemieckiego, czysto biernej i czysto szkolnej, wydają mi się bardzo piękne, udane, a przede wszystkim wierne...

Chwalił go także profesor Konrad Górski. Ponieważ jego tekst jest w języku

niemieckim, przytoczę własny przekład jego wypowiedzi:

Czytając niemiecki tekst, słyszę dobrze melodię i rytm oryginałów. To wielkie osiągnięcie. Czy to nowy przekład, czy stary? Kto to jest Karl Dedecius? Jeżeli jest to nasz współczesny, to proszę wyrazić mu moje najwyższe uznanie.

W naszej korespondencji powtarzało się zaproszenie do Niemiec, ale moje drogi tamtędy nie wiodły. Zanim do osobistego spotkania doszło, Dedecius przeprowadził się służbowo do Frankfurtu. Tam go kilka lat później odwiedziłem z rodziną, kiedy wracaliśmy z Polski samochodem. Odszukaliśmy jego biuro towarzystwa ubezpieczeniowego, dla którego wówczas pracował, przekładając w wolnym czasie polską literaturę.

Pojechaliśmy razem do lokalnej restauracji na wolnym powietrzu na pieczone kurczaki i długo obiecywaną sobie rozmowę. Obiad się przeciągnął, tak że musiałem zrezygnować z odwiedzenia przejazdem Mariana Pankowskiego w Brukseli, bo do stolicy Belgii dotarliśmy dopiero późną nocą, i zdecydowali kontynuować jazdę do Ostendy na prom do Anglii.

W liście z 12.4.1960 Dedecius zawiadamiał:

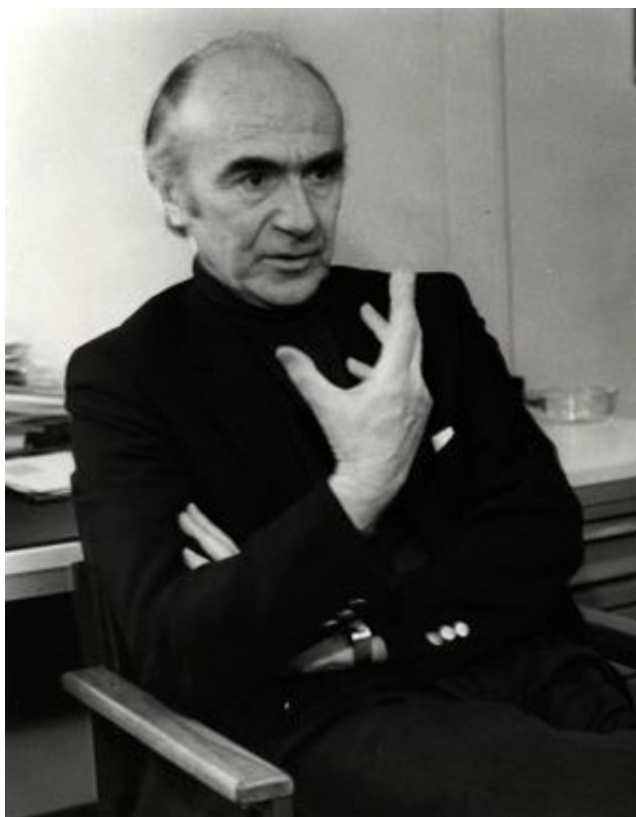
...Zaraz po Wielkanocy ukáže się tutaj dość ładna książka, bardzo dowcipnie ilustrowana: „Myśli nieuczesane” Leca w moim przekładzie.

Był to jego największy sukces wydawniczy. Pod tytułem „Unfrisierte Gedanken” utrafiły one w smak niemieckiego czytelnika. Tłumacz zapytany potem w Polsce o wysokość nakładu, powiedział „pięćdziesiąt tysięcy”, co z niewiary czy złośliwości dziennikarza zapisano jako „piętnaście tysięcy”. Dziś nakład tych aforyzmów przekroczył pół miliona.

Kiedy sam nieco później robiłem własny wybór tych aforyzmów i przekładałem na język hiszpański, by je wydać w Meksyku, napisałem o tym Dedeciusowi. Ubawiło go to.

Uśmiechnąłem się, mimo woli, czytając Pańskie uwagi o „Nieuczesanych” . Chyba

pod sugestią Leca pisał Pan o tej maleńkiej książeczce, albowiem Lec wciąż się na mnie dąsa, że zrobiłem tak szczupły wybór, zamiast wydać grubą książkę z wszystkimi myślami. To już w charakterze każdego ojca życzenie zebrać wszystkie swoje dzieci pod jednym dachem. Ale to nie zawsze możliwe. Po pierwsze, nie każda gra słów wychodzi w obcym języku (a przecież wiele aforyzmów Leca na tej podstawie słownej zbudowane), a po drugie, nie każda myśl, nowa i celna nad Wisłą, jest także samo nowa i celna gdzie indziej. ...Boję się, że Lec nie miałby połowy swojego dzisiejszego sukcesu u nas, gdybym bez selekcji wziął wszystko, co on napisał. Pomijając to, że niektóre myśli, przetłumaczone na niemiecki, powtarzają nieśmiertelne mądrości wypowiedziane przed laty przez Salomona, Heinego, Goethego, Lichtenberga, Ebner-Eschenbacha, Krausa i innych aforystów. Perły ceni się tylko dlatego, ponieważ sprzedaje się je pojedynczo. Gdyby targowali nimi na rynku całymi workami - nikt by na to nie zwracał uwagi.



Karl Dedecius

W drugim liście podał mi adresy rodziny Leca oraz bogatą bibliografię lektury pomocniczej.

Miałem go następnym razem zobaczyć dopiero po latach w Warszawie. Bo tymczasem urosła jego sława i rozeszła się szeroko, a kiedy został dyrektorem Deutsches Polen Institut w Darmstadt i zaczął zapraszać pisarzy i poetów z Polski, stał się persona bardzo grata.

Na Saskiej Kępie u ambasadora Niemiec wraz ze spotkaną po drodze Ewą Lipską zastałem doborową drużynę ludzi pióra i kultury (wydawcy, pedagodzy, aktorzy) już tworzący dwa obozy, powiedzmy lojalistów i kontestatorów, która się zjechała z całej Polski, by uczcić 70 lecie pracy translatorskiej Dedeciusa. On, wysłuchawszy laudacji i koncertu fortepianowego, z przysłowiową niemiecką przezornością wręczył każdemu z obecnych gotową na tę okazję książkę pamiątkową.

Jan Darowski pisząc o "Lektion der Stille" w "Kontynentach" w 1962 roku martwił się o przyszłość fenomenu, którego nazwisko brzmiało Dedecius. Głosił on jasno i wyraźnie:

W Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya...Nie wiem, jak mu tam ojczyzna nasza pomaga, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób...

Dziś, po tylu latach, zbawieni obaw o losy Dedeciusa, możemy spokojnie pogratulować sobie, że postawiliśmy na sukces.

Na mój wielki dzień 5 maja 2015 roku napisał list: *(wręczenie doctoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego i przyjęcie orderu przyznanego przez króla Hiszpanii Filipa VI za działalność translatorską, przyp. red.).*

Kochany Panie Florianie,

nasza wspólna Alma Mater, Uniwersytet Wrocławski, postanowił Pana odznaczyć. Gratuluję Panu z całego serca tego wyróżnienia, które nas powtórnie do siebie zbliża, jak Pan widzi krąg naszych przyjaciół jest ciągle ten sam, miejsca do których podróżujemy te same. Cieszę się, że Uniwersytet Wrocławski postanowił Pana uhonorować w tak szczególny sposób. Przez moment miałem nadzieję, że uda nam się spotkać, ale jak sygnalizuje mi moja najbliższa współpracowniczka, pani

Ilona, Pana podróż wiedzie przez Warszawę, a nie przez Frankfurt. Szkoda. Chętnie bym odświeżył naszą przyjaźń, zaprosił Pana (wraz z Córką) na odpowiednią kolację połączoną z „nocną rodaków rozmową”...

Karl Dedecius zmarł w 2016 roku.

Na jego koncie Niemcy zapisali odkrycie i przyjęcie polskiej literatury.

Lektion der Stille



Jan Darowski

Do smutniejszych odkryć mojego żywota zaliczam odkrycie "Quo vadis?" w języku angielskim. Było to jeszcze w czasach sprzed książki z filmu, już nie pamiętam nazwiska tłumacza. Pamiętam natomiast, że w przekładzie tym pobite zostały aż

dwa rekordy: rekord nieznamości języka polskiego i rekord nieudolności w języku angielskim. Jeśli do tego dodamy kilka drobnych szczegółów, takich jak to, że tłumaczenie powyższe ukazało się nakładem jednej z najpoważniejszych firm wydawniczych w Anglii, specjalizującej się w klasykach wszystkich krajów i to, że na obwolucie książki jak byk wypisane było, iż mamy do czynienia z „ni mniej ni więcej”, tylko arcydziełem literatury polskiej, to już chyba mamy gotowy obraz literatury w umyśle angielskiego czytelnika. Od tego czasu ta przygoda powtórzyła mi się kilkakrotnie. Lecz jak mówią starożytni, ten kto dobrze leży, najlepszym będzie stoikiem.

Nie jest tajemnicą, że książki polskie tłumaczy się na język angielski nie z oryginału, a z jakiegoś innego tłumaczenia, zazwyczaj francuskiego. Nie było by w tym szczególnego powodu do zmartwienia, gdyby nie to, że na język francuski tłumaczą nas nie paryżanie, a Francuzi warszawscy. Trudno potem spodziewać się, że w języku angielskim wskrzeszony zostanie żywy głos autora polskiego, któremu poderżnięto gardło w języku francuskim.

Gdyby czytelnikowi angielskiemu zaofiarowano przekład na wyżej wspomnianym poziomie, na przykład z Prousta czy Manna, tłumacza wykończyliby natychmiast recenzenci. Ilu zaś recenzentów angielskich podniesie, gdy jest w stanie podnieść, głos w obronie autora polskiego? Ani jeden, gdyż ani jeden nie może sprawdzić rzeczy w oryginale. Dobre wychowanie i wrodzona ostrożność każą im rzecz raczej przemilczeć, bo „a nuż widelec”. Tak książka wychodzi na rynek, lecz nie dociera do czytelnika, który jak wiadomo rzadko ma swoje gusta i albo czyta na chybił trafił, albo na rekomendacje fachowców. A za nią książka następna i następna, aż gdzieś księgowi wykażą, że to wszystko ginie w próżni i naraża firmę na straty. Zimne poty wychodzą mi na czoło, gdy pomyślę w jakim stopniu książka polska w tym kraju zależna jest już nie tylko od talentu, ale wręcz ludzkiej uczciwości tłumacza. To też, gdy ci zatrąbią, Drogi Czytelniku, że taka a taka powieść polska, ukazała się w przekładach, na tyle a tyle języków, nie zenuj się a zapytaj, w przekładach czyich i z jakiego języka? A gdy dowiesz się, że w odległej Japonii książka polska jest bestsellerem, pomyśl tylko, czy nie dlatego, że zrobiono tam z niej szmirę.

Literaturze polskiej za granicą przeszkadza nie tylko jej spóźnienie dziejowe i jej prowincjonalizm (dobry prowincjonalizm też może mieć swój urok dla kosmopolity -

vide, wyłączając Ibsena, literatura skandynawska pięćdziesiąt lat temu) lecz też, i to głównie nasz kompleks niższości, który każe nam stać w kącie z urażoną dumą i czekać, aby obcy do nas pierwsi podeszli. A obcy nie podejną, bo oni też mają swoje kompleksy. I tak skazani jesteśmy na tłumaczenie siebie samych, co zazwyczaj zaczyna się i kończy upartym twierdzeniem, że literatura polska nie ustępuje żadnej.

Lecz dobra kulturalne, jak każde inne dobra tego świata trzeba sprzedawać umiejętnie bez fałszywego wstydu i z istic kupiecką dalekowzrocznością. To jest eksport. Panowie, to jak jajka, bekon, konfitury, i na to nie ma rady. Ale szlachetce, który mieszka w duszy polskiego inteligenta, wstydno parać się handlem. On w wiechciach stoi równy królom.

Mówi się zwykle, że nie mamy szczęścia w ogóle, a szczęścia do tłumaczy w szczególności. Powiedzmy sobie od razu: my po prostu nie mamy tłumaczy. Niech mi ktoś wymieni Francuza, albo Anglika, który jest czymś więcej jak szprotką we własnych wodach, a może tłumaczyć z języka polskiego. Tymczasem St. Perse'a wprowadził do języka angielskiego nikt inny jak Eliot. Zgodzimy się chyba, że ułatwiłoby to sprawę nowoczesnej poezji polskiej, gdyby tłumaczyć ją mogli Ted Hughes albo Philip Larkin.

W obecnej sytuacji literatura polska nie może liczyć na takie ułatwienia. Nam trzeba najpierw tłumacza sobie stworzyć, hodować pieczołowicie, a potem ozłacać. Jak się to robi? Parę lat temu przedstawiono mnie pewnemu Anglikowi, „scoutowi” jednej z firm wydawniczych, który, widocznie zmylony moim entuzjazmem do Gogola, wziął mnie za Rosjanina i zaproponował mi, abym tłumaczył coś z literatury rosyjskiej, „preferably post-Gorki”. „W tym są niezłe grosze”, zapewniał mnie gorąco. A na moje pytanie, czy z prawej kieszeni czy z lewej, powiedział krótko: „Może być z obu”. Czegóż prócz z wysoce hipotetycznej wdzięczności narodu polskiego może spodziewać się tłumacz autorów polskich. A tu trzeba żyć, ślęceć, dziatki żywić i wedle wzoru: Wer den Dichter will verstehen muss nach Dichter's Lande gehen, podróżować nieco. Przedtem jeszcze trzeba nauczyć się polskiego języka. Lecz gdzie? School of Slavonic Studies? Wolne żarty. Język polski jest tak trudny, nawet dla nieprzeciętnego Anglika, że żadne ambicje akademickie nie wystarczą mu, jako zachęta do głębszego niż po łebkach poznania tej dziwnej płątaniny spółgłosek. Na to potrzebne są bodźce żywe w rodzaju cyganerii studenckiej, dziewczyny, perspektywy

kariery. Niechaj tylko uczelnie polskie ufundują stypendia dla Anglosasów, stypendia nie z literatury polskiej albo historii sztuki, a z medycyny, inżynierii itd., a w przeciągu następnego ćwierćwiecza przestaniemy być białą plamą na mapie kulturalnej świata. Zaś przekłady z języka polskiego posypią się jak z rękawa. I to przekłady niewymuszone, nie kupione gdzieś w ciemnej bramie, a wynikające z wewnętrznego zapotrzebowania tłumaczy i być może, jako podświadoma spłata długów wdzięczności. W następnych dwu dekadach ilość kandydatów na miejsca uniwersyteckie w Anglii więcej niż dwukrotnie będzie przewyższała ilość miejsc. Czy ktoś w kraju pomyślał już o wykorzystaniu tej sytuacji? Wątpię. Prawdopodobnie patrzy się na to pod kątem bardziej doraźnie zrozumiałych interesów narodowych. Boć Antka trzeba też gdzieś podszkolić, aby zasilał szeregi Wielkich Niezrozumianych. Tymczasem w tejże Anglii, gdzie tysiące młodzieży nie ma szans dostania się na wyższe uczelnie, uczelnie te same rezerwują tysiące wolnych miejsc dla studentów zagranicznych. Oni to będą tłumaczyli literaturę angielską na swoje języki i narzecz, otwierając przy tym rynki zbytu i sfery wpływów. Powie ktoś, że Polska jest zbyt biedna na to, aby szkolić obcokrajowców kosztem młodzieży polskiej. Polska jest zbyt biedna na to, aby ich nie szkolić.

Tymczasem my nadal wierzymy, że pomoże nam kategoryczny imperatyw ludzi, którzy nie wiedzą na pewno, jakiego kraju Polska jest stolicą i być może, że wiedzą iż wiele naszych wielkości nie wytrzyma zmierzenia się z obcymi, boimy się prawdziwego tłumacza. Jeśli tak jest, to szkoda, bo liryka polska ostatnich paru lat i sporo przedwojennej na prawdę jest na poziomie. Przewyższa to, co w tym czasie napisano w Anglii i wytrzymuje porównania z liryką amerykańską. Czytelnik i literat anglosaski, nic o tym nie wiedzą, a te fragmenty, które do nich dochodzą traktowane są prędzej jako curioza z uciemienzonego kraju, niż odsetki jakiegoś większego kapitału, a gdy dowiedzą się prawdy, to znowuż będzie za późno.

Wyjątek pod tym względem będą stanowiły Niemcy i dzięki Karlowi Dedeciusowi, którego „Lektion der Stille”, antologia nowoczesnej liryki polskiej, jest wydarzeniem pierwszej klasy w historii przekładów z języka polskiego. O Dedeciusu wiem tylko, że urodził się w Polsce i że pracował nad nową antologią liryki polskiej, zakrojoną na większą skalę. Jedno jest pewne, w Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya albo Moncrieffa w prozie francuskiej. Nie wiem, jak mu tam nasza ojczyzna pomagała, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia

byłoby zaprzepaszczenie jego talentu lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób. Mówię to, bo my tu nad Tamizą też mamy swoją „Lekcję ciszy”, ale lekcja idzie osobno, cisza osobno.

Recenzja ukazała się w „Kontynentach” nr 43-44 pod redakcją Floriana Śmieji w Londynie w 1962 roku. Posłał ją Dedeciusowi. On w jednym z listów napisał:

Panu Darowskiemu proszę przekazać specjalny ukłon ode mnie: artykuł jego o tłumaczeniach - nie tylko ze względu na naturalnie miłą dla mnie laudatio, ile ze względu na ogólną ilustrację problemu i związane z nim wnioski - uważam za bardzo dobrze napisany i, jeśli wolno mi się tak wyrazić, mądry.